

PROLOG

Czasami życie boli.

Andie

Nigdy w życiu nie wstydziłam się tak bardzo, jak w tym momencie. W każdym razie nie przypominam sobie podobnej sytuacji. Zresztą nieważne, czy ten wieczór naprawdę trafi na szczyt mojego osobistego rankingu koszmarów – akurat teraz tak właśnie się czuję i tylko to się liczy.

Wydaje mi się, że każdy straszny moment jest wszechogarniający. Przysłania wszystkie inne i dlatego twierdzimy, że nigdy w życiu nie czuliśmy się gorzej.

Nie udało mi się zapanować nad sobą. Siedzę na schodach przed restauracją, na dworze, choć temperatura oscyluje pewnie wokół pięciu stopni, w strugach deszczu, który beznamiętnie rozmywa moje łzy. Staram się uporządkować myśli. Bezustannie zadaję sobie pytanie, jak w ogóle do tego doszło, jakim cudem moje życie stanęło na głowie. Nie daje mi to spokoju. Kiedy to się stało i dlaczego? Wiem natomiast, przez kogo. Tego akurat jestem absolutnie pewna.

Dramat? Chaos? Niespodzianki? O nie, ani tego nie chcę, ani nie potrzebuję, a odkąd mamę spotkało to, co spotkało, wma-wiam sobie, że w przyszłości uda mi się tego wszystkiego uniknąć.

Kiedy wreszcie czuję, jak zimno mokrych kamiennych schod-ków przenika przez sukienkę, ni stąd, ni zowąd śmieję się cicho. Spotkało mnie wszystko, czego nie chciałam, za to pragnę cze-goś, czego nie mogę mieć.

Moje życie zawsze było poukładane, podobnie jak ja. Do dziś. Dopóki nie przyjechałam do tego miasta, na ten uniwersytet. Dopóki June nie zaciągnęła mnie do tego cholernego klubu. Już wtedy powinnam była wziąć nogi za pas. Może wtedy omi-nęłoby mnie to całe zamieszanie. Zapewne siedziałabym teraz w domu, z rodziną. Bez studiów, bez poczucia, że zrobiłam coś, o czym zawsze marzyłam, ale szczęśliwa... O wiele szczęśliwsza.

A może jednak nie?

Ukrywam twarz w dłoniach, ciężkie kosmyki zsuwają się z moich ramion, zasłaniają oczy. Łzy spływają mi po policz-kach. Z restauracji wychodzą elegancko ubrani goście, mijają mnie na schodkach. Inni wchodzą do środka. Są jak cienie, nie do końca obecni, nie do końca wymyśleni.

Nadciąga mgła. Niewiele widać. Ciemnobrązowe włosy zwi-sają mi smętnie wzdłuż ramion. Rozpięty płaszcz nie chroni przed zimnem, ale nie mam ani ochoty, ani siły, by coś z tym zro-bić. Dygoczę, a jednak nie jestem w stanie wziąć się w garść i ru-szyć z miejsca. Ktoś z restauracji pyta, czy się dobrze czuję, czy można mi pomóc. Nie, wszystko w porządku, nie, nie można. Naprawdę nie. Dlatego tylko pokręciłam głową. Sama nie wiem, czy tę osobę naprawdę to obchodziło, ale miło, że miała dość od-wagi, by zapytać.

Deszcz nie słabnie, wali we mnie jak perkusista w talerze – szybko, rytmicznie, z pasją. Kiedy w końcu zmuszam się, by pod-

nieść głowę i nie pograć w rozpacz, z trudem przelkam ślinę i wzdycham głośno. Wszystko we mnie krzyczy, że już za późno.

Siedzę na tych schodkach, przeklinam samą siebie, patrzę na obłoczki oddechów rozpluwające się na zimnym powietrzu, zamrzam, cieknie mi z nosa. Z nosa, którego już nie czuję.

Nic nie widzę, mam brudne okulary, mokre i zamglone. Zdejmuję je.

Lewą ręką niemal odruchowo sięgam do przemoczonej malutkiej materiałowej torebki, chowam okulary, wydaję komórkę. Bateria lada chwila się rozładuje, wyświetla się lekko zamglona, ostrzegawcza czerwona informacja, że zostało cztery procent energii. Zdaje się ze mnie drwić. Odgarniam mokre kosmyki z czoła i ust, przemywam oczy spływającym wciąż po mojej twarzy deszczem, mam w nosie, co będzie z resztkami makijażu, o ile jeszcze jakieś zostały, i wpatruję się w wyświetlacz. Przeglądam imiona na liście kontaktów, ale cały czas wracam wzrokiem do jednego.

„Nie zadzwonię do niego”.

Niewiele jest osób, które mogłabym zawiadomić i poprosić, żeby po mnie przyjechały, i tak naprawdę żadnej z nich nie chcę widzieć.

Chciałabym, żeby June tu była, na tę myśl znowu chce mi się płakać. A jednak do niej nie zadzwonię. Może dlatego, że mi wstyd. Może dlatego, że zbyt wiele musiałabym tłumaczyć, także rzeczy, których sama właściwie nie rozumiem. Choć do tej pory nigdy nie miałam oporów, by opowiedzieć coś najlepszej przyjaciółce. Więc właśnie dlatego, a jeszcze – bo jestem silną kobietą, którą to wszystko po prostu przerasta.

W pewnym momencie każdy ma dość. Każdy może się wpakować w dziwną, niezrozumiałą sytuację. Ciągłe ktoś dostaje kosza, prawda? Nie powinnam się tym przejmować. Wiem, ile jestem warta. Ale te myśli, ta świadomość, nie mają znacze-

nia, jeśli tego naprawdę nie czujesz. Nie pojmuję, że najwy-
czajniej w świecie sobie poszedł. I jeszcze rzucił pieniądze na
stół... Nic nie poradzę, że mam teraz wrażenie, jakby zapłacił
mi za ten wieczór. Klnę pod nosem i zaciskam pięść. Prawie jej
nie czuję z zimna.

Nieważne, że zapomniałam portmonetki. Nie wzięłabym jego
pieniędzy, nawet na taksówkę...

Wydamę z siebie cichy szloch. A potem chęć, by stąd uciec,
wejść pod prysznic, a później otulić się w łóżku kołdrą i prze-
płakać całą noc, bierze górę i w końcu to robię: wciskam zie-
lony guzik.

Odliczam sygnały.

Wszystkiego najlepszego dla mnie...